BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 11. Niedziela, dnia 25-go maja Rok 1913

WIEWIÓRKA.

(NOWELA Z FRANCUSKIEGO.)

(Ciąg dalszy.)

III.

— Matko przenajświętsza! a to co znowu za zwierzynę przynosi pan Józef? — zawołała Scholastyka, kiedyśmy weszli do kuchni i skoro przy świetle swojej lampki dojrzała poruszenia trojga zwierzątek, piszczących w mojej czapce.

Na co odpowiedziałem jej jak najpieszczotliwszym głosem:

— To są wiewiórki Scholasiu! nie bój się, już ja je sam sobie wychowam... Tylko jeżeli chcesz mi wyświadczyć prawdziwą łaskę, to dasz mi cokolwiek ciepłego mleka.

— Jeszcze czego! ciepłego mleka, dla tych paskudnych zwierząt, chyba by mi rozumu zabrakło. Że też to taki mądry człowiek, jak pan Bastien, mógł pozwolić, żeby dziecko przynosiło w czapce do domu podobne paskudstwo! Toć te obrzydliwe zwierzęta trącą zdaleka i gryzą, co im tylko pod zęby popadnie. No, no cierpliwości! niech tylko pan wróci do domu, to zaraz je każe powyrzucać. Śliczne rzeczy! wiewiórki! tego też jeszcze brakowało!

Kuzyn uczuł się zmuszony do wdania się w tę sprawę, dla złagodzenia gniewu gderliwej Scholastyki. Pomimo uprzedzenia do wiewiórki stary poczciwiec wiedział dobrze, iż skoro się raz popełniło głupstwo, potrzeba mieć odwagę do zniesienia jego następstw. Nie pamiętam już jakim sposobem zdołał przekonać naszą służącą, lecz dość, że w końcu otrzymał od niej filiżankę mleka. Po takim tryumfie zanieśliśmy nowy nabytek do mego pokoju, gdzie Bastien pokazał mi, jak miałem karmić te biedne stworzenia, które dotąd nie znały innego jedzenia, prócz mleka swej matki. Umoczył zatem gąbkę w pełnej ifiliżance i podawał kolejno wszystkim trzem wiewiórkom, które będąc widocznie głodnemi, chciwie wyssały mleko. Po nasyceniu przytuliły się do posłania i zwinąwszy w kłębek, pozasypiały.

— Trzeba z niemi bardzo ostrożnie postępować, dopóki im zęby nie porosną, będziesz więc musiał ciągle karmić je za pomocą smoczka! — napominał kuzyn. Będzie to wymagało dużo cierpliwości, ale kiedyś je odebrał rodzicom, przyjąłeś przez to samo na siebie odpowiedzialność za ich życie. Masz więc teraz obowiązek względem trzech żyjących istot, — dodał z uśmiechem, — i przekonasz się mój chłopcze, że to wcale nie tak łatwa sprawa!

Przezacny kuzyn doprowadził do końca swe bohaterskie poświęcenie i tak samo, jak ułagodził oburzenie Scholastyki, wyjednał mi u ojca pozwolenie zatrzymania w domu wiewiórek.

Nazajutrz nasz sąsiad, blacharz Radel, który niegdyś sam posiadał wiewiórkę, pożyczył mi klatkę, którą ustawiłem w moim pokoju. Był to istny pałac, którego sam widok wywołał we mnie głośne zachwycenie. Miał on aż dwa piętra. W dolnej części znajdowało się walcowate koło opatrzone kratką, obracające się na swojej osi, za najmniejszem dotknięciem zwierzątka; drewniana drabinka łączyła koło z górną częścią klatki, gdzie było urządzone gniazdko w kształcie domku, którego dach otwierał się i zamykał, za pomocą haczyka. Gniazdko to było wysłane wewnątrz skubaną wełną, na której ułożyłem moje wiewióreczki. Wychowanie tych stworzonek niezmiernie mię wówczas zajmowało. Bezustannie myślałem o nich i prawie nie śmiałem oddalić się z domu, z obawy, aby w czasie mej nieobecności nie przytrafiło im się co złego. Z samego rana, wyskakiwałem z łóżka i według nauki Bastiena karmiłem mlekiem, wszystkie trzy wiewiórki. Najsilniejszą i najłakomszą z nich była właśnie ta, co miała czarne plamki na ogonie i którą z tej przyczyny nazywano węglarzem. Łykała ona chciwie podawany sobie pokarm i rosła prawie w oczach. Dwie inne jadły, jak gdyby z musu i dlatego też były wciąż drobne, chude i ospałe, co mnie do tego stopnia zmartwiło, że aż poskarżyłem się przed kuzynem.

— Cóż chcesz mój kochany? — odpowiedział, wszakże ja ci to naprzód przepowiadałem! Nie wolno jest bezkarnie naruszać porządku rzeczy, a one też byłyby szczęśliwsze, gdybyś je pozostawił na buku. A zresztą zobaczysz, że i dla ciebie nie wyniknie stąd nic dobrego.

Przepowiednia Bastiena, przynajmniej w części się sprawdziła.

Pewnego poranku, kiedy z moją gąbką i mlekiem zbliżyłem się do klatki i otworzyłem drzwi-

czki, zastałem dwie rude wiewiórki martwe i już zimne, leżące obok swego braciszka węglarza, który sam tylko pozostał przy życiu. Wyciągnął on niespokojnie swoję główkę po nad dwa maleńkie trupy, zwracając ku mnie czarne oczki już niezmiernie żywe. Ten widok wstrząsnął mię boleśnie, po pierwszy bowiem raz w życiu, mogłem powziąść jeszcze pojęcie o śmierci.

Z płaczem pobiegłem do Bastiena, którego pokój sienią tylko był oddzielony od mojego.

Nie śmiałem dotknąć tych dwóch wychudłych ciał zwierzątek z najeżoną siercią. Musiał on je sam powyciągać z gniazda i zanieść na łąkę, gdzieśmy je powrzucali do rzeki, płynącej środkiem miasta.

Od owej chwili węglarz uwolniony od niemiłego sąsiedztwa chorowitych braci, pozostawszy sam posiadaczem klatki, zaczął się pomyślnie rozwijać, nabierając z każdym dniem więcej rzeźkości i siły. Wkrótce wypijał, już bez niczyjej pomocy, co dzień salaterkę mleka, stając się coraz zdrowszym i ładniejszym.

Byłem nawet nieco oburzony jego obojętną wesołością i miałem do niego urazę za to, że się nie smucił ze straty rodzeństwa.

— Jest to naturalne prawo, — wzdychał Bastien, — że silni depczą po karkach słabszych, dopóki ich nakoniec nie poduszą. Tam gdzie niema miejsca, jak tylko dla jednego, ten tylko może pozostać, kto najwytrwalszy w walce, inni zaś muszą zginąć... Zobaczysz, jak twoja wiewiórka skorzysta na śmierci tamtych.

Wiewiórka w samej rzeczy bardzo wiele skorzystała.

Po trzech tygodniach gryzła już chleb i suche orzechy, a kiedy na Ś-tą Magdalenę, leszczyna okryła się nowemi, wreszcie doszła już zwykłej wielkości, a ja poprosiłem kuzyna, żeby mi wynalazł imię stosowne dla niej. Zdawało mi się, że otrzymawszy takowe, stanie się jeszcze bardziej moją własnością. Chciałem koniecznie ładnego imienia, łatwego do spamiętania, odpowiedniego jej powierzchowności, żeby je zwierzątko łatwo zrozumiało i przybiegało do mnie na zawołanie.

— Nazwij ją Skoczkiem, — powiedział Bastien, — będzie to dla niej najstosowniejsze imię.

Trzeba wiedzieć, że nasi lotaryńscy wieśniacy, nazywają Skoczkiem czerwonego dyablika, który według ich przekonania przebywa w sąsiedztwie mieszkań ludzkich, płatając gospodyniom różne złośliwe figle. Mówią, że niekiedy daje się on widzieć po sadach, skacząc z gałęzi na gałąź, jak błędny ognik i wykrzywiając się w najpotworniejszy sposób. Dlatego też to i nasze wieśniaczki nazywają Skoczkami psotne i złośliwe dzieci.

Usłuchałem więc rady Bastiena i od tego czasu nazywaliśmy wiewiórkę Skoczkiem.

Niepodobna było wynaleźć odpowiedniejszego imienia, do jej obyczajów i zachowania się. Małe to zwierzę było zawołanym figlarzem i zdawało się mieć ogień w żyłach.

Jednej chwili nie mogło wysiedzieć na miejscu. Jak tylko zaczynało świtać, zeskakiwała z posłania i zaczęło obracać koło z tak gorączkową żywością, że nareszcie znajdując to zajęcie równie utrudzającem dla niego, jak i dla siebie, zrywałem się z łóżka i otwierałem klatkę. Naówczas rozpoczynały się szalone skoki po całym pokoju; wiewiórka jednym susem była już na komodzie, potem właziła na szafę i z gzemsu wydostawszy się na firanki, wdrapywała się po nich do góry. Nigdzie nie zatrzymała się się na czas dłuższy. Zaledwie ją dojrzałem na brzegu stołu, kiedy wtem już mignął mi przed oczami rudawy, centkowany kłębek, była to moja wiewiórka, która rozpędziwszy się nagle, jednym skokiem dostawała się na drążek, przytrzymujący firanki po nad łóżkiem.

Pokarm jej składał się głównie z orzechów i migdałów, lecz skoro tylko skosztowała tych ostatnich, odrzucała już orzechy i nie chciała już jeść nic innego. Wszystkie moje drobne oszczędności szły do kupca na migdały słodkie dla Skoczka. Scholastyka wszelkie zapasy tych owoców chowała jak najstaranniej pod kluczem, utrzymując, że to jest istnym grzechem, rzucać podłemu zwierzęciu to, co najlepsi ludzie zajadają ze smakiem. Zabawnie też było patrzeć na Skoczka, kiedy się zabierał do gryzienia migdałów. Siedząc na tylnych łapkach, z puszystym ogonem, podniesionym, jak kita po nad głową, niósł przedniemi do pyszczka twardą skorupkę, i brał pomiędzy ząbki, ostre, jak pilniki. Za drugim razem, jak na komendę, pogryziona skorupa spadła na ziemię. Nasz Skoczek, będący wielkim wykwitnisiem, zabierał się natenczas do oskrobania suchej łupinki i dopiero kiedy migdał został całkowicie oczyszczonym, uważał go za stosowny do jedzenia. Wtedy to zaczynał go nareszcie chrupać z miną łakotnisia, rzucając na wszystkie strony bystremi oczkami. Skoro się już nasycił, a pozostało mu jeszcze trochę migdałów na zapas, obłupywał je spokojnie i niósł je w jeden kącik na swoje łóżko, pomiędzy kołdrą i poduszką. Miał on tam swoją kryjówkę, do której się udawał na południową drzemkę, a kiedy zadziwiony tem, że go nigdzie nie mogłem dostrzedz, — wołałem: Skoczek! Skoczek! wyciągał z pod kołdry swoję puszystą głowę z mysiemi uszkami, spoglądał na mnie z miną swawolnego dyablika i na nowo cofał się w miękkie schowanko. Na nieszczęście próbował on ostrości swoich ząbków, nietylko na skorupkach od migdałów, ale na wszystkiem, co tylko mógł dostać w pazurki. Nie oszczędzał on niczego. Osadki od stalek, kałamarze drewniane, bąki, grzbiety od książek, miały się z pyszna. Ladaco! Przedewszystkiem też miał on szczególny pociąg do książek. Zapachy skór i drukowanego papieru nęciły go, i podwajały jego zaciętość. Pewnego rana zastałem go nad darciem w kawałeczki mego Zbioru ćwiczeń łacińskich. Strata sama przez się nie była zbyt wielką; i sam byłbym się śmiał najpierwszy z tego wypadku, gdyby złośliwe zwierzątko nie było sobie wybrało na skubankę, stronnicy zawierającej ćwiczenie, które ksiądz Gardolle kazał mi przygotować na dzień następny. Nie mogąc napisać zadania, dostałem zły stopień w dzienniku i musiałem pościć, zamiast pójść do domu na obiad.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z WIOSNĄ.

IV.

A na lipie zielonej,
Przy dzwonnicy, gdzie dzwony,
Jaskółcze plemię coś się rozgwarza,
Świergot wokół cmentarza.

Ćwierka jedna: — Przeprawa
Była ciężka, a krwawa;
Przelecieć góry, przefrunąć morze,
Trudno było, o Boże!

Ćwierknie druga: — Jastrzębie
Dognały nas przy dębie;
Jeno pod konar, mocny, dębowy,
Ukryłyśmy swe głowy.

Ćwierknie trzecia: — A skrzydła
Cięła zamieć obrzydła,
Szron lazł na piórka, kosteczki krzepły,
Nie powiał wietrzyk ciepły.

Ćwierkną wszyscy: — Do gniazda
Wiodła jasna serc gwiazda;
Niema złej drogi do swej niebogi,
Choć przez ciernie i głogi.

Tu siedziby u pował
Czas zimowy popsował;
Choć podniszczone to gniazdo ptasze,
Zawdy ono jest nasze!

My tu gwarzym o biedzie,
A zaś licho na przedzie;
Bo kolonista-wróbel wciąż dybie,
Śni o naszej sadybie.

Hej, do pracy, hej żwawo!
Raz skończyć z tą wrzawą!
Złe mija z wiosną, a od gorszego
Własne trudy ustrzegą!

V.

Siądziewa se, Kasiu, na tej góreczce,
A ja tobie zagram na fujareczce,
Na fujarce, na wierzbowej,
Pieśń nadleci mi do głowy
I do duszy z łąk.

Pokłoń się, fujarko, najpierw swą nutą
Świętym dwom obrazom, zmajonym rutą;
Jezusowi w Krzyża Męce
I tej Jego Matuleńce,
Za żywot z Ich rąk.

Pokłoń-że się teraz, fujarko miła,
Onej świętej ziemi, co nas żywiła!
Jak żywiła, tak i żywi,
Której pragną Niemcy chciwi,
Chcą kupić od nas.

Pokłoń-że się jeszcze, fujarko, wiośnie,
Bo ona od Boga, w niej serce rośnie,
W niej zielonej, rozśpiewanej,
Świat śliczniuchno malowany,
To otuchy czas!

WIANKI NA BOŻE CIAŁO.

Wieniec w starych pojęciach Lechitów był godłem cnoty, symbolem dziewictwa i plonu. Dziewczęta stroją głowy w wianki z ruty i kwiatów, których nosić nie wolno mężatkom. Ślubny wieniec jest ostatnim, który zdobi czoło dziewicy. Przy dożynkach i okrężnem, wieniec uwity z kłosów wszelakiego zboża i kwiatów polnych, jako poetyczny symbol zerwanych plonów, niesie gospodarzowi najdzielniejszą żniwiarka. Przy sobótkach krasne dziewczęta przyozdabiają włosy wieńcami z bylicy. Na Ukrainie, w wieńcach świętojańskich, przemaga chwoszcz, po polsku skrzyp. Wierzą tam, że ziółko to suszone i użyte do kadzenia, ochrania bydło od zarazy.

Powszechny jest w naszym kraju zwyczaj zanoszenia wianków i równianek na Boże Ciało, w pierwszy nieszpór lub inne nieszpory i poświęcania ich w kościele w oktawę Bożego Ciała, t. j. w nieszpór ostatni. Są to wianuszki małe jak dłoń, z krzewów pachnących, ziół i kwiatów uwite. Woń ziół uważana jest jako symbol cnoty, a Kościół w modlitwie, którą odmawia kapłan przy ceremonii poświęcenia, prosi Boga, aby przyjął do wonnej szczęśliwości wonne cnoty tych, którzy składają Mu na ołtarzu wieńce i pęki woniejącego ziela. Zwyczaj rzewny i piękny, ducha pobożnych podnoszący. Pora to najlepsza do zbierania ziół i kwiatów, gdy matka-ziemia pokrywa się w czerwcu wonnym kwiatów kobiercem. Wieńcami zdobią się monstrancye przez całą oktawę. Potem wieńce te i wiązki ziół za powrotem do domu zawieszone na ścianach u obrazów, przechowują się po domach przez cały rok, a lud im przypisuje cudowne własności. Okadza nimi chaty przed nadchodzącą burzą, obory i dobytek wypuszczany na wiosnę pierwszy raz w pole, uważa je jako ochronę od zarazy i wszelkich nieszczęść. Do poświęcenia są zioła i krzewy uprzywilejowane.

I tak w Krakowskiem znoszą wianki z rozchodnika, niezapominajek i macierzanki. Niektóre ksiądz zawiesza na monstrancyi, inne sługa kościelny zawiesza na drążkach nad ołtarzem, albo wtyka na drzewka, któremi umajono ołtarz w Zielone Świątki. Wianki te ubrane bywają jeszcze bratkami i czerwoną lub kolorową przewiązane tasiemką. Po oktawie, każda gospodyni przychodzi do kościoła po swoje i następnie zawiesza je nad drzwiami stajni, obory i izby.

W Wielkopolsce, w ostatnie nieszpory oktawy Bożego Ciała, wiją wianeczki z lipiny, jabłeczniku, dzikich gwoździków, rozchodniku, macierzanki, targownika, rosiczki i ziół innych, a po nabożeństwie obłamują gałązki zieleni, którą były ubrane ołtarze, t. j. brzeziny, lipiny, niekiedy wierzby, topoli i olchy, i przyniósłszy do domu, zatykają wśród lnu, konopi i kapusty, aby robactwo nie zniszczyło tych roślin.

Na Podlasiu, nad błotnistą Narwią, powiadali ludzie, stary zwyczaj szanujący, że w wielu domach wito po dziewięć maleńkich wianków, a w każdym razie liczbę nieparzystą, każdy wianek z innego ziela. Zioła te są: macierzanka, kopytnik rozchodnik, nawrotek, rosiczka, mięta, ruta, stokrotek i barwinek. Wianki te kładzione bywają pod podwaliny nowobudującego się domu w stodole pod pierwszy przywieziony z pola snop zboża; kadzą nimi dzieżę chlebną; okadzają wreszcie chorych na gardło. Niektóre z powyżej wymienionych ziół mają przypisywaną sobie oddzielną własność. Od rozchodnika n. p. i macierzanki rozchodzą się chmury gradowe i pioruny, gdy w czasie nadchodzącej burzy, chata i gumna zostaną okadzone.

Na Mazowszu wiją wianki z ziół wyłącznie polnych. Ziołami temi w wigilię św. Jana okadza się po trzykroć wymiona krów, aby mleka nie traciły, zawiesza je na czerwonej tasiemce u rogów i także wykadza dzieżę, gdy chleb nie chce w niej rosnąć i zakwaszać jak należy.

W Galicyi, w oktawę Bożego Ciała święcą wianki uwite z rozchodnika, lubczyka, kopytnika, przywrotka, targownika, macierzanki i dzwonków. Kładą je w rogi stodół, zawieszają nad drzwiami stajen, okadzają nowobudowane domostwa.

W niektórych okolicach zioła i kwiaty układają się w wianek na paskach papieru, z wypisanemi na nich słowami Ewangelii św. Jana: „A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami". Nadto zaś cztery Ewangelie, czytywane podczas uroczystej procesyi Bożego Ciała, przepisują się na osobnych kartkach i poświęcają się w kościele, a po odebraniu z kościoła zakopują się w czterech rogach niwy, aby chroniły ją cudownie od burzy i gradobicia. Na Podlasiu lud mocno wierzy, że dym ziół poświęconych, a szczególniej byiicy, unosząc się kominem z nad żarzących się węgli, rozpędza chmury piorunowe.

Procesye Bożego Ciała bywały bardzo wspaniałe i wystawne. Rodziny zamożniejsze ubiegały się w wznoszeniu i ubieraniu ołtarzy swoim kosztem, co z przepychem czyniono. Za dawnych gospodarzów był świątobliwy zwyczaj że na czterech miejscach (na wschód, zachód, południe i północ) miewali zakopane świętości. Zapraszali do tego kapłana, aby z Przenajświętszym Sakramentem, wokoło objeżdżał zboże w polu i granicę, dla gradów i innych przygód.

Dla domu i gospodarstwa.

O ratowaniu utopionych.

Wiadomo, iż przy ratowaniu utopionych, a właściwie pozornie przez utopienie zmarłych, największą trudność przedstawia jak najszybsze pozbycie się wody, którą pochłonął wewnątrz siebie topielec.

Od tego zazwyczaj zależy cała skuteczność ratunku, a wszystkie używane dotąd sposoby, n. p. huśtanie na prześcieradłach, łechtanie i t. p. wymagają wiele przyborów i czasu, a nadto nie zawsze osiągają pożądany skutek. Zwłaszcza przy każdem dłuższem pozostawaniu topielca w wodzie, zazwyczaj nic już te środki nie pomagają. Dr. Laborde zaleca przy wyciągniętych z wody pozornie zmarłych, co następuje:

Trzonkiem łyżki otwiera się przemocą zaciśnięte usta utopionego, chwyta czemprędzej palcami za język i ciągnie się mocno naprzód. Wskutek tego działania następuje kurcz krtani i gardła i utopiony wyrzuca odrazu wielką ilość pochłoniętej wody.

Dr. Laborde ocalił już wielu topielców, formalnie za zmarłych uważanych, i ten sposób nie zawiódł go dotąd nawet w wypadkach, gdy wszystkie inne sposoby nie rokowały już żadnej nadziei.

Oprócz sposobu, podanego powyżej przez Dra Laborde, jest jeszcze inny, a mianowicie:

Szybko, ale ostrożnie wydostać utopionego z wody, głowę podnieść do góry i baczyć, aby nie obwisała na piersi lub w tył nie niechylała się, położyć na stole na sienniku nie blisko ognia lub przeciągu powietrza, rozebrać lub rozpruć odzienie, wyczyścić palcem owiniętym szmatką usta i nos z flegmy, piany, piasku, błota i t. p., obmyć ciało ciepłą wodą, położyć na krzyże (nigdy nie stawiać do góry nogami), cokolwiek ku prawej stronie i z głową lekko podniesioną, zawinąć ciało w ogrzaną flanelę, położyć między uda i po obu stronach nóg grzane w chustę owinięte kamienie, cegły lub bańki z ciepłą wodą, dobrze zakorkowane, albo dać ciepłą kąpiel, w której niech kilka godzin pozostanie i tylko dolewać od czasu do czasu gorącej wody, by nie chłódła, wdmuchiwać powietrze do ust, rozcierać ciało pod okryciem, osobliwie grzbiet od dołu do góry, rozcierać podeszwy szczotką maczaną w ciepłej oliwie lub ciepłej wodzie, dać lewatywę z ugotowanego tytoniu lub z wody ze solą.

Gdy mimo kilkugodzinnego ratunku chory nie okazuje znaków życia, to położyć go do pościeli dobrze ogrzanej i poobkładać ciepłemi cegłami lub piaskiem.

Aby oddechanie wywołać, trzeba jedną swoją dłoń położyć na piersiach, a drugą w dołku sercowym i na jedno tempo równocześnie naciskać, łechtać nozdrza piórkiem. Jeśli okazuje znaki życia, tedy słabiej rozcierać ciało, wlać mu do ust herbaty z winem. Krwi nie puszczać, chybaby bardzo posiniał, dawać do wąchania chrzan roztarty, płatki cebuli, tartą paprykę, pieprz lub amoniak.

Uwaga. Im prędzej wyjmiemy topielca z wody, tem łatwiejszy bywa ratunek; odratowywano nawet takich, którzy 2 godziny byli w wodzie.

Im więcej utopiony był przedtem rozgrzany, czy to od słońca, biegania lub trunków, tem trudniej przyprowadzić go do życia.

Ludzie chorowici, starcy i kobiety ciężarne rzadko kiedy dadzą się odratować.

Czem zimniejsza woda, w której się utopił, tem trudniejszy bywa ratunek.

Pierwsze znaki życia przychodzą po 2—6 godzinach.

10 przykazań dla uniknięcia nieszczęśliwych wypadków.

1. Nie zostawiaj nigdy dzieci samych w mieszkaniu, nigdy nie pozwól siedzieć dziecku samemu przy otwartem oknie.
2. Nie zostawiaj zapałek, garnków z ukropem, gorącego żelaza tam, gdzie dziecko sięgnąć może.
3. Zamknij dobrze każdą truciznę, a butelkę opatrz napisem, żeby się nikt nie mógł omylić.
4. Nie używaj nigdy butelek, słoików, naczyń i t. p., zanim ich dobrze nie wymyjesz ciepłą wodą sodową.
5. Nie używaj niepobielanych, miedzianych (koprowych) lub cynkowych naczyń.
6. Nie dolewaj nigdy do palącej się lampy lub maszynki nafty lub spirytusu.
7. Strzeż się, żeby się do rozpalonego tłuszczu nie dostała woda, gdyż para może ci oczy wyparzyć.
8. Nie wywabiaj plam, nie pierz rękawiczek benzyną lub terpentyną przy lampie lub świecy — benzyna bowiem łatwo wybucha.
9. Nie zasuwaj klapy u pieca dopóki się węgiel nie wypali, bo się zaswędzisz.
10. Gdy sobie skaleczysz palec lub rękę, owiń natychmiast; jeśli kurz lub trująca materya dostanie się do rany, może łatwo nastąpić zakażenie krwi.